

MIEKO KAWAKAMI



H
E
A
V
E
N

PRZEŁOŻYŁA ANNA HORIKOSHI

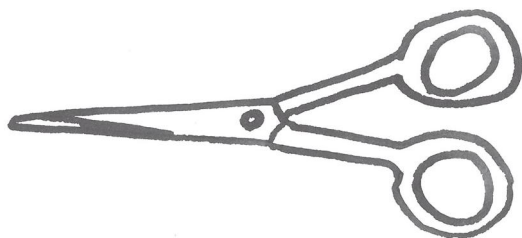


MIEKO KAWAKAMI

HEAVEN

Z JAPOŃSKIEGO PRZEŁOŻYŁA

ANNA HORIKOSHI



TYTUŁ ORYGINAŁU:

ヘヴン

Redaktorka prowadząca: Marta Budnik

Wydawczyni: Monika Rossiter

Redakcja: Adrian Kyć / Rytm pisania

Korekta: Beata Wójcik

Projekt kolażu na okładce i ilustracji: © Alex Rossiter

Opracowanie graficzne okładki: Łukasz Werpachowski

DTP: MELES-DESIGN

Copyright © 2009 by Mieko Kawakami

Original Japanese title: Hevun

Original publisher: Kodansha Ltd

Copyright © 2023 for the Polish edition by Mova an imprint
of Wydawnictwo Kobiectwo Agnieszka Stankiewicz-Kierus sp.k.

Copyright © for the Polish translation by Anna Horikoshi, 2023

Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone.
Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiejkolwiek techniki całości
bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania
pisemnej zgody posiadacza tych praw jest zabronione.

Wydanie I

Białystok 2023

ISBN 978-83-8321-348-4

Grupa Wydawnictwo Kobiectwo | www.WydawnictwoKobiectwo.pl





1

Było to pod koniec kwietnia. Kiedy otworzyłem piórnika, pomiędzy ołówkami zauważyłem niewielki, wielokrotnie poskładany kawałek papieru. Rozłożyłem go i przeczytałem: „Jesteśmy podobni”.

Cienkie kreseczki znaków, wykonane automatycznym ołówkiem, przypominały rybie ości. Poza tym jednym zdaniem niczego więcej tam nie było.

Natychmiast schowałem karteczkę do piórnika, wyrównałem oddech i po chwili rozejrzałem się dookoła, starając się, żeby wyglądało to w miarę możliwości naturalnie. Jak na każdej przerwie koledzy z klasy wygłupiali się hałaśliwie. Żeby się trochę uspokoić, kilka razy sprawdziłem, czy podręcznik i zeszyt leżą równo na ławce, a potem wolno zastrugałem ołówkiem. Wkrótce rozległ się dzwonek. Usłyszałem szuranie krzesłami, do sali wszedł nauczyciel i zaczęła się lekcja.

Byłem pewny, że ten liścik to kolejny głupi dowcip chłopaków z klasy. Ale nie mogłem zrozumieć, co ich skłoniło do takiej dziwnej prowokacji. Westchnąłem w głębi duszy i jak zwykle pogрузyłem się w czarnych myślach.

Jedynie ten pierwszy list znalazłem w piórniku. Następne przyklejone były taśmą klejącą wewnątrz mojego stolika w taki sposób, że z łatwością wyczuwałem je dłońmi, gdy tylko sięgnąłem po coś do wnęki pod blatem. Nie pojawiały się codziennie, ale dość regularnie. Za każdym razem, kiedy natrafiłem palcami na kartkę, przechodził mnie zimny dreszcz. Rozglądałem się ostrożnie, przekonany, że ktoś obserwuje moją reakcję. Nie wiedziałem, jak powinienem się zachować, więc ogarniał mnie trudny do wyrażenia niepokój.

„Co robiłeś wczoraj, kiedy padał deszcz?” albo: „Który kraj chciałbyś odwiedzić?” – zawsze jedno proste pytanie tego rodzaju widniało na kartce wielkości pocztówki. Czytałem te krótkie liściki w toalecie. Nie wiedząc, gdzie mógłbym je wyrzucić ani co z nimi zrobić, chowałem je pod granatową oprawkę mojego uczniowskiego dzienniczka.

Nic się nie zmieniło, odkąd zacząłem dostawać listy.

Jak zwykle nosiłem torby Ninomiyi i jego kolegów, którzy kopali mnie, jakby to było coś najzwyklejszego na świecie, bili po głowie, zmuszali do biegania. Same listy natomiast stawały się coraz dłuższe. Nigdy nie pojawiło się w nich ani moje imię, ani imię nadawcy, ale czasami, gdy przyglądałem się pismu, przychodziło mi do głowy, że może autor nie ma nic wspólnego z moimi prześladowcami. Zaraz jednak strofowałem się w duchu: „Nie, to głupie” i przemyślawszy rzecz od początku, popadałem w jeszcze większe przygnębienie.

Sprawdzanie, czy tego dnia otrzymałem list, stało się moim małym rytuałem. Przychodziłem do szkoły wcześniej, kiedy jeszcze nikogo nie było. W sali panowała cisza, w powietrzu unosił się zapach pasty do podłogi. Czytanie kilku linijek drobnego pisma w takich okolicznościach sprawiało mi przyjemność. Nie pozwalałem sobie zapomnieć, że to prawdopodobnie pułapka, ale było w tych listach coś, co bez względu na niebezpieczeństwo dawało mi odrobinę wytchnienia.

Zaraz na początku maja dostałem list takiej treści: „Chcę się z Tobą spotkać. Będę czekać po lekcjach, między piątą a siódmą wieczorem”. Była też data

spotkania i prosta, odręcznie narysowana mapka. Słyszając w uszach własne przyspieszone tętno, czytałem list tyle razy, że zdania wryły mi się pod powiekami. Cały dzień zastanawiałem się tylko nad tym, co powinienem zrobić. Nie przestawałem o tym myśleć przez cały długi majowy weekend, aż w końcu rozboleła mnie od tego głowa i straciłem apetyt. Czy nie chodziło o to, żebym poszedł na miejsce spotkania, niczego nie podejrzewając, a tam Ninomiya i reszta wyjdą z ukrycia i spuszczą mi takie lanie, jakiego nigdy jeszcze nie zaznałem? A potem to, że przyszedłem, bo czegoś oczekiwałem, stanie się dla nich pożywką, impulsem do nowej zabawy. Moja sytuacja będzie jeszcze gorsza.

A jednak nie mogłem – ot tak, po prostu – zignorować tej propozycji.

Tego dnia na niczym nie potrafiłem się skoncentrować.

Cały dzień w szkole bacznie obserwowałem moich klasowych oprawców, ale nie wyczuwałem żadnej szczególnej zmiany w ich zachowaniu. W końcu jeden z nich nie wytrzymał: „Hej, co się tak gapisz?” i rzucił we mnie pantoflem. Ten trafił mnie w twarz i spadł na podłogę. „No, na co czekasz? Przynieś go z powrotem!” Posłusznie wykonałem polecenie.

Moje zdenerwowanie rosło, w miarę jak zbliżał się koniec lekcji. Na ostatnich zajęciach zrobiło mi się z tego wszystkiego niedobrze, ale dotrwałem jakoś do dzwonka i biegiem rzuciłem się do domu. Pędząc, zastanawiałem się: czy naprawdę zamierzam tam iść? co mam zrobić?, ale nie znajdowałem odpowiedzi. Każde rozwiązanie wydawało mi się złe.

– Cześć, już jestem – powiedziałem, wchodząc do domu.

Matka przywitała mnie, ale nie wstała z sofy i nadal oglądała wiadomości. Z telewizora dobiegał głos spikera. To był jedyny dźwięk w całym mieszkaniu. Wszędzie, w każdym pokoju panowała cisza.

– Pół dnia spędziłam w kuchni – stwierdziła matka.

Wyjąłem z lodówki karton soku grejpfrutowego, nalałem sobie do szklanki i wypilem na stojąco. Matka spojrzała w moją stronę i powiedziała, żebym usiadł przy stole, kiedy piję. Potem usłyszałem odgłos obcinania paznokci – u rąk, a może u nóg.

– To znaczy gotowałaś obiad?

– Tak. Nie czujesz, jak ładnie pachnie? Pierwszy raz w życiu zrobiłam pieczeń. Sama związałam ją sznurkiem.

Czyżby ojciec miał się pokazać w domu? – pomyślałem, ale postanowiłem nie pytać.

- Jesteś głodny?
- Nie. Muszę iść do biblioteki. Zjem później.

W okolicy była kilkusetmetrowa alejka obsadzona po obu stronach drzewami. Chodziłem nią do szkoły. Żeby dotrzeć na miejsce spotkania, musiałem w połowie drogi skręcić w lewo i dojść do parku, który ze względu na niewielkie rozmiary należałoby chyba nazwać skwerkiem.

Wyszedłem z domu o czwartej, więc kiedy dotarłem na miejsce, nikogo jeszcze nie było. Odetchnąłem z ulgą. Funkcję ławek na placu pełniło kilka opon, ułożonych jedna na drugiej, a jedyną atrakcją stanowił betonowy wieloryb, po którym można się było wspinać. Między oponami a wielorybem znajdowała się jeszcze piaskownica wielkości trzech mat tatami, zaśmiecona pudełkami po słodyczach i plastikowymi workami. Zasuszone psie i kocie odchody, do których przylepił się piasek, przypominały obtoczone w cieście kawałki tempury. Kup było tak dużo, że nie dało się ich policzyć, zdawało się, że wypełniają całą piaskownicę. Nagle przyszło mi do głowy, że być może moi koledzy zmuszą mnie do jedzenia tego świństwa, i poczułem pieczenie w gardle. Wziąłem głęboki oddech, żeby

pozbyć się z wyobraźni tego potwornego smaku, ale to tylko pogorszyło sprawę.

W paszczy wieloryba zmieściłyby się dwie osoby mojego wzrostu. Kiedyś beton był pomalowany, ale farba dawno odpadła i teraz grzbiet i głowę ssaka pokrywało kilka nieudolnych bohomazów wykonanych czarnym flamastrem. Całe to miejsce znajdowało się w cieniu starego bloku mieszkalnego i ziemia była tu nieprzyjemnie czarna od wilgoci.

Postanowiłem wrócić na alejkę i tam poczekać do czasu spotkania.

Usiadłem na metalowej ławce i westchnąłem głęboko. Myśl, że popełniłem błąd, przychodząc na spotkanie, nie dawała mi spokoju, ale próbowałem odpędzić ją argumentem, że Ninomiya i reszta i tak mi nie odpuszczą. Jeśli się nie pojawię na spotkaniu, będą wściekli, że im się nie udało, będą się chcieli za to zemścić, więc na jedno wyjdzie.

Westchnąłem jeszcze raz i spojrzałem w górę. Na czarnych konarach drzew, jeszcze do niedawna gołych, pojawiły się pierwsze zielone listki, które szumiały teraz przy każdym podmuchu wiatru. Zdjąłem okulary, potarłem oczy i spoglądałem na alejkę. Jak zwykle obraz, który widziałem, był płaski, bez głębi, a bez okularów nie zmieniał się płynnie, lecz na moment zastygał

w jednym ujęciu, jak w stop-klatce, po czym znikał, a na jego miejsce pojawiał się nowy.

Po jakimś czasie ruszyłem w stronę placyku. Nie byłem już w stanie myśleć. Kiedy dotarłem na miejsce, zobaczyłem kogoś siedzącego do mnie tyłem na oponach. Dziewczyna w szkolnym mundurku. Oniemiałem w pierwszym momencie. Byłem pewny, że ktoś jeszcze musi być na placu i obserwować moje zachowanie. Rozejrzałem się, ale nikogo innego nie było.

Zbliżyłem się do niej ostrożnie. Gdy znalazłem się obok wieloryba, usłyszała moje kroki i zwróciła twarz ku mnie. To była Kojima, koleżanka z klasy. Wstała i patrząc na mnie, schyliła nieco głowę. Automatycznie zrobiłem to samo.

– List – powiedziałem.

Kojima była niewielkiego wzrostu i miała dość ciemną karnację. Zawsze bardzo spokojna. Jej bluzka nigdy nie widziała żelazka, a cały mundurek nie mógł być chyba już bardziej znoszony. Chodziła pochylona. Na głowie miała tonę czarnych jak węgiel włosów, nastroszonych w różnych kierunkach. Czy to brud, czy ciemny meszek pod nosem był obiektem ciągłych żartów w szkole. Pochodziła z biednego domu i nie

była wzorem czystości, za co prześladowała ją żeńska część klasy.

– Nie sądziłam, że przyjdiesz – powiedziała i uśmiechnęła się niepewnie. – Nie czułeś się dziwnie?

Nie mogłem wydobyć głosu, więc tylko pokręciłem głową. Przez chwilę staliśmy w milczeniu.

– Może usiądziemy? – zaproponowała.

Zgodziłem się kolejnym ruchem głowy, ale nie potrafiłem usiedzieć na oponach. Były twarde i niewygodne.

– W zasadzie to nie mam nic ważnego do powiedzenia. Po prostu chciałam pogadać o różnych rzeczach. Właśnie z tobą. Myślę, że to jest nam obojgu potrzebne.

Zacinała się w trakcie mówienia. Nigdy wcześniej się do mnie nie odezwała, więc słyszałem jej głos z bliska po raz pierwszy, po raz pierwszy też widziałem dokładnie jej twarz. W ogóle nigdy przedtem nie rozmawiałem w taki sposób z dziewczyną. Poczułem pot na dłoniach, a chwilę później na całym ciele. Nie wiedziałem, gdzie podziąć wzrok.

– Fajnie, że przyszedłeś.

Jej głos nie był ani za niski, ani za wysoki. Skoncentrowany i dojrzały. Pokiwałem kilka razy głową. Widząc to, Kojima trochę się uspokoiła.

– Wiesz, jak nazywa się ten placyk?

Zaprzeczyłem ruchem głowy.

– To plac Wieloryba. Wiadomo. Ja go tak nazwa-
łam. – Roześmiała się.

Plac Wieloryba, powtórzyłem w myślach.

– Od dawna chciałam z tobą porozmawiać. Dlatego pisałam te liściki. Ale myślałam, że nie przyjdiesz. Zaskoczyłeś mnie! – powiedziała. Mówiła teraz trochę szybciej, w zakłopotaniu dotykając nosa.

Pokiwałem głową na znak, że rozumiem.

– Chciałabym, żebyśmy zostali przyjaciółmi. –
Spojrzała mi w oczy. – Oczywiście jeśli się zgodzisz.

Nie wiedziałem dokładnie, o co jej chodzi, ale i tym razem, jakoś z rozpędu, skinąłem głową. Dopiero później zacząłem się zastanawiać, co „bycie przyjaciółmi” mogło oznaczać dla Kojimy, i naszły mnie wątpliwości, ale i tak nie mogłem o to zapytać. Pociłem się cały czas, czułem, że pot spływa mi po plecach. Tymczasem Kojima, uznawszy ten mój lekki ruch głową za definitywną odpowiedź, roześmiała się radośnie, po czym westchnęła i stwierdziła, że to super. Wstała z opon i otrzepała się. Nawet jej plisowana spódnica miała kilka zmarszczek przebiegających ukośnie, wbrew układowi plis. Kieszonka bluzki wybrzuszała się nienaturalnie,

zapewne była czymś wypchana – wystawały z niej strzępy starej chusteczki higienicznej.

– Radomina – powiedziała rozpromieniona, wciąż wzdychając i patrząc na czubki swoich butów.

Rado co? – powtórzyłem w myślach i już chciałem zapytać o to głośno, ale uznałem, że zastanawiam się zbyt długo, więc nie odezwałem się wcale.

– Mogę nadal pisać do ciebie listy?

– Jasne – odparłem zachrypniętym głosem. Poczuję gorąco na twarzy.

– I mogę ci je podrzucać?

– Mhm. – Kiwnąłem głową.

– A będziesz odpisywać?

– Mhm. – Tym razem udało mi się odpowiedzieć normalnym głosem, więc odetchnąłem z ulgą.

Potem przez jakiś czas staliśmy w milczeniu. Gdzieś daleko rozległo się krakanie wrony.

– To na razie.

Kojima uśmiechała się do mnie jeszcze przez chwilę, po czym nieznacznie uniosła dłoń, jednym ruchem odwróciła się na pięcie i niemal biegiem ruszyła w kierunku alejki.

Nie obejrzała się do tyłu. Obserwując jej oddalającą się sylwetkę, miałem wrażenie, że widzę ją podwójnie, mniejszą w większej, a później jeszcze mniejszą.

Zastanawiając się, jak długo w takiej sytuacji należy patrzeć za odchodzącą dziewczyną, w końcu straciłem ją z oczu. Materiał plisowanej spódnicy obijał się ciężko o jej nogi mniej więcej w połowie ud. I nawet kiedy Kojima już znikła, ja nadal miałem przed oczami ten niezgrabny ruch.

*

– Maroko! Czekaj!

Było już po lekcjach. Odwróciłem się rozgoryczony, wiedząc, co się szykuje, a jeden z kolegów Ninomiyi złapał mnie za kark i wciągnął z powrotem do klasy. Tak to się zwykle odbywało. Ninomiya siedział na ławce pośrodku sali. Kiedy mnie zobaczył, powiedział: „Witaj znowu” i roześmiał się. Potem wsadził mi do nosa kawałek kredy i zażądał, żebym narysował coś śmiesznego. „Tylko pamiętaj, mamy boki zrywać!” Jego banda, rechocząc, ustawiła mnie pod tablicą i otoczyła.

Ninomiyę znałem z podstawówki. Już wtedy się wyróżniał. Miał najlepsze wyniki w sporcie, z nauką też radził sobie doskonale. Każdy musiał przyznać, że ma ładną twarz. Jako jedyny w klasie nosił sweter innego koloru i włosy do ramion. Mógł też liczyć na

pomoc brata, który był o trzy klasy wyżej i wszyscy go znali. Obaj byli popularni. To wystarczyło, żeby powstała wokół niego ta specyficzna aura, dla której wielu uczniów chciało się wkraść w jego łaski. W gimnazjum zaczął spinać włosy w koński ogon i zabawiać koleżanki. Zresztą z jego żartów śmiał się każdy, nie same dziewczyny. Nadal był w czołówce, jeśli chodzi o wyniki w nauce, i od pierwszej klasy gimnazjum uczęszczał na kursy przygotowujące do egzaminów końcowych. Wydawało się, że budził respekt nie tylko wśród uczniów, ale również wśród nauczycieli.

– No, rysuj!

Nie odzywałem się i nie ruszałem.

– Nie robisz żadnych postępów, a my tak się staramy. Wszystko na marne. – Ninomiya rozłożył ręce w geście bezradności, wzbudzając tym salwy śmiechu wśród swojej świty.

Nieco dalej za nimi zauważyłem Momose. Stał z rękami splecionymi na piersi. Poznałem go dopiero w gimnazjum. On też był bardzo zdolny i podobno uczęszczał razem z Ninomiya na te same popołudniowe kursy. Nigdy z nim nie rozmawiałem. Zwykle przebywał w towarzystwie Ninomiyi, ale był małomówny i nie widziałem, żeby się głośno wygłupiał z kolegami. Słyszałem też, chociaż nie znałem szczegółów, że nie

bierze czynnego udziału w zajęciach wuefu, a jedynie ogląda je z ławki. Nie był tak ładny jak Ninomiya, ale też zaliczał się do przystojnych. Obaj przewyższali mnie o jakieś dziesięć centymetrów. Momose miał zawsze taką minę, że nie wiedziałem, o czym myśli. A kiedy inni się nade mną znęcali, on nie brał w tym udziału, tylko patrzył tak jak teraz – trochę z tyłu, z założonymi rękami.

– Wiesz co? Nie mamy już dla ciebie czasu. Odpuszczę ci, jeśli zjesz te trzy kawałki kredy. – Ninomiya zarządził, żeby koledzy wetknęli drugi kawałek kredy do drugiej dziurki mojego nosa. Trzeci kawałek sam trzymał przed moimi oczami. – Tylko wiesz, że trzeba najpierw podziękować? – powiedział i kopnął mnie mocno w kolano wewnętrzną częścią stopy.

Kiedy mnie bili, kopali, przewracali, zawsze robili to tak, żeby nie zostawić śladów. Gdzie oni się tego nauczyli? – dziwiłem się, gdy po powrocie do domu nie znajdowałem na ciele siniaków.

Teraz też, kopiąc mnie po kolanach i udach, zwracali uwagę, żeby nie trafić dwa razy w to samo miejsce. Jeden z nich wpadł na pomysł, żeby przejść po mnie, jakby podeszwami sportowych butów chciał sprawdzić, jak miękki jest mój brzuch. Popchnęli mnie tak, że z łomotem wpadłem na ścianę i przewróciłem

ławkę. To nic takiego, zawsze tak jest, to minie, powtarzałem w myślach i czekałem, aż skończą.

Wreszcie podnieśli mnie za włosy. Stałem z dwoma kawałkami kredy w nosie, a trzeci włożyli mi do ust. Ugryzłem przednimi zębami.

Widząc to, Ninomiya i reszta zanieśli się śmiechem.

Do tej pory piłem już wodę ze stawu i z toalety, połykałem złote rybki, jadłem obierki z warzyw dla królików. Do jedzenia kredy zmusili mnie po raz pierwszy. Nie miała zapachu ani smaku. Ninomiya popędzał mnie, więc zamknąłem oczy i skupiłem się na łamaniu jej zębami. Z moich ust wydobywał się odgłos chrupania. Starałem się rozgryźć kredę na miazgę, choć to nie było proste, bo ostre końcówki połamanych kawałków wbijały mi się w policzki. Pracowałem jednak żuchwą bez wytchnienia i w końcu zacząłem połykać bardziej rozkruszoną papkę, robiąc miejsce na kolejne kawałki.

W ten sposób zjadłem wszystkie trzy kawałki, a wtedy ktoś zawołał: „A teraz koktajl!” i podano mi pobrudzony farbą plastikowy kubek z mętną, szarą zawiesiną. Był to pył z kredy wymieszany z wodą. Przyparli mnie do ściany i zaczęli mi wlewać do ust zawartość kubka. Wypiłem do dna, ale już w trakcie picia poczułem nudności. Moment później zwróciłem wszystko. Klęczałem z rękami na podłodze i wymiotowałem. Z moich

oczu i nosa kapwały łzy i śluz. „Oj! Maroko! Co robisz!” Najpierw ode mnie odskoczyli, ale zaraz zaczęli klaskać z uciechy. „Liż to!” Przycisnęli mi głowę do wymiocin. Z tej pozycji widziałem ich uśmiechnięte twarze.

*

Tego dnia zacząłem odpisywać na listy Kojimy.

Nigdy wcześniej tego nie robiłem, więc nie wiedziałem ani o czym, ani jak powinienem pisać. W każdym razie świeżo zatemperowanym ołówkiem rejestrowałem to, co przychodziło mi do głowy, wymazywałem, pisałem jeszcze raz i tak w końcu powstawał list. Nigdy jednak nie udało mi się zapisać więcej niż jedną stronę. Opowiadaliśmy sobie o jakichś drobnostkach, ale z każdym listem poznawaliśmy się trochę lepiej. Żeby nikt się o tym nie dowiedział, przychodziłem do szkoły wcześniej niż wszyscy i zostawiałem swój list w stoliku Kojimy, a następnego ranka dostawałem odpowiedź. Czytałem ją w toalecie. Nigdy nie poruszaliśmy tematu naszego szkolnego cierpienia, jakby to było jakieś tabu.

Kiedy kończyłem pisać, zdejmowałem okulary i czytałem list wielokrotnie, zbliżywszy go do lewego oka. Po jakimś czasie czułem ból w oku i po jednej stronie głowy.



HISTORIE WARTO OPOWIEDZIEŃ



#MOVAODOBRYCHKSIĄŻKACH



www.mova.com.pl



[wydawnictwo.mova](https://www.facebook.com/wydawnictwo.mova)



[wydawnictwomova](https://www.instagram.com/wydawnictwomova)



Zajrzyj i bądź na bieżąco!